



ROMOWIE WCZORAJ I DZIŚ

Karol Parno - Gierliński

Zawody, profesje romskie



Karol Parno - Gierliński

Zawody, profesje romskie

© za zgodą autora

Wstęp

Aby przystąpić do opracowania tematu tak obszernego, musiałem odpowiedzieć sobie na podstawowe pytanie: co, albo kto ma być źródłem pozyskania informacji, aby ta była w miarę wiarygodna?

Nie mogę przemilczeć bezcennych wiadomości i dokumentów, udostępnionych mi przez E.J., mogłem wejrzeć jednocześnie jakoby w dwa bieguny naszej społeczności. Z jednej strony grupę od kilku pokoleń osiadłą oraz jeszcze do niedawna koczowniców z drugiej strony.

Postanowiłem więc jako bazę informacji przyjąć przekaz zachowany w tradycji rodzinnej, rodowej, względnie plemiennej i dopiero w przypadku braku takiego, sięgnąć do źródeł zewnętrznych, takich jak dokument, względnie opracowania naukowe.

Dlatego też w kilku przypadkach niedookreślone są ramy czasowe, względnie miejsca, ale sam fakt zachowania w pamięci grupowej danego zawodu, a czasami i jego tajników, stanowi wartość samą w sobie.

Kotlarze

Jeszcze do połowy lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku kotlarstwo stanowiło „naczelną” profesję romską. Co prawda nie zawsze ci, którzy deklarowali, czasami z konieczności, że są kotlarzami, byli nimi w rzeczywistości. Ale jest faktem, że cynownictwem zajmowali się przedstawiciele różnych grup. Lecz niedościgłymi mistrzami pozostawali Kełdelasze, którzy tą umiejętnością na tereny polskie ze sobą przynieśli, wraz z egzotycznymi strojami i odmiennym dialektem w połowie dziewiętnastego wieku. Starzy ludzie opowiadali o paradujących w czerwonych szarawarach Romach i ich zdobnych kamizelkach, ze srebrnymi guzikami wielkości kurzego jaja oraz o obwieszonych złotą biżuterią bosonogich, nawet zimą, ich Romniach, w zawiązanych w typowy do mieszkańek Besarabii chustkach na głowie.

Zanim jednak rozeszli się po ościennych krajach, w rodzinnej Rumunii byli niewolnikami, stanowiącymi własność miejscowego ziemiaństwa. Poddawani różnym formom dyskryminacji, z próbami wynarodowienia łącznie.

Jakby w nagrodę za wieki niewoli, trafili na swoją „Ziemie Obiecane”, bo rozwijający się w zawrotnym tempie przemysł, w tym przetwórstwo rolne, potrzebował nie tylko rąk do pracy, ale fachowców od produkcji wszelkiego rodzaju naczyń, napraw i renowacji.

Centra przemysłowe stanowiły potężny rynek zbytu dla ich umiejętności. Biedni do niedawna niewolnicy rumuńskich właścicieli, prawie z dnia na dzień stworzyli przesadnie demonstrującą swoje bogactwo grupę wędrownych rzemieślników. Do czasu Drugiej Wojny Światowej byli oni monopolistami w swojej dziedzinie na polskim rynku. Kełdelasze z powodzeniem opanowali rynek rosyjski i pozostałe kraje europejskie. Przynieśli oni wspaniałą umiejętność ręcznej obróbki metali, w szczególności miedzi, w warunkach bardziej niż prymitywnych. Bywało, że kowadłem był kawałek stali wbitej w pniak, albo płaski kamień.

Kełdelasze potrafili nie tylko cynować kotły, ale robili też z rozklepanych pałaków od wiader świdry, potrafili też „na zimno” spawać miedzianą blachę.

Po wojnie zawód ten zaczęli wykonywać inni Romowie i zanim nie wyparło nas z rynku pojawienie się naczyń - najpierw aluminiowych, a potem ze stali nierdzewnej, praca ta zapewniała nam godne życie. Bardzo dużym

powodzeniem cieszyły się ręcznie wykonane patelnie, a już za galanterię na rynku naczyń kuchennych uchodziły naczynia miedziane, cynowane wewnątrz. Sztuka cynowania naczyń w czasach odległych, w starożytnej Persji, w Indiach, potem w Małej Azji, była traktowana jako zabieg rytualny, mający „oczyścić” pobielane przedmioty.

Jak to dalece utkwiło w ludzkiej świadomości, że nie jest to tylko prosta praca rzemieślnicza, niech świadczy fakt, iż w jednym z komunistycznych P.G.R - ów, zlecono romskiemu kotlarzom „odczarowanie” konwi do mleka (wg J. Ficowskiego).

Cynownictwo miało przede wszystkim znaczenie praktyczne, ponieważ miedź w zetknięciu z kwasami organicznymi tworzy trujące substancje. Poprzez pobielanie zapobiegało się temu niechcianemu procesowi.

Sama praca należała do bardzo szkodliwych, a wykonywana w warunkach nie dających żadnej ochrony, stanowiła przyczynę wielu chorób, w tym nowotworowych. Poparzenia, wiecznie obolałe dłonie i trudno gojące się rany, to poza intratnym zajęciem, element życia kotlarza.

Obecnie następuje renesans zawodu kotlarza, ale jest już inna świadomość samych rzemieślników i stosowane są środki ochronne, zabezpieczające pracujących w tym zawodzie.

Kowalstwo

Zawód ten uprawiany przez Romów na całym świecie, niezależnie od pochodzenia plemiennego lub też kraju pobytu. Kowalami byli Romowie na dalekiej Syberii, w hiszpańskiej Andaluzji, na Bałkanach i także w Polsce.

Wyroby andaluzyjskich kowali są słynne na całym świecie, misternie kute przez nich bramy, ogrodzenia lub też lampy są ozdobą najznakomitszych pałaców, świątyń, czy parków.

W sztuce andaluzyjskich kowali zachowały się elementy zdobnicze, których indyjski rodowód jest bardzo czytelny, a nałożone na to motywy charakterystyczne dla kultury arabskiej, dają tym wyrobom, wykonanym przecież z pospolitego surowca - z żelaza, cechy wręcz biżuterii.

Andaluzyjscy kowale nie bezpodstawnie uważani są za arystokrację sztuki kowalskiej.

Romski kowal pojawia się często jako bohater w literaturze, nie ominęło to też literatury polskiej. W przepięknej powieści I. Kraszewskiego „Chata za wsią”, główny bohater Tumry jest kowalem.

W czasach, kiedy różne anty - cygańskie edykty władców nakazywały wyganianie czy eksterminację Romów, miejscowa ludność, tam gdzie byli romscy kowale, tych nakazów nie przestrzegała. I to nie tylko z pobudek humanitarnych, ale ze zwykłego wyrachowania, bo pozbawienie wsi biegłego w swej sztuce rzemieślnika, było prawdziwą klęską - tak dla tej wsi, jak i okolicy.

Wręcz podręcznikowym przykładem dbałości o „swoich” Romów jest Podlasie.

Co prawda prawie nikt z potomków podlaskich kowali nie kontynuuje zawodu swych przodków, ale w rodzinnych przekazach rodu Pachowiaków, Marcinków czy Dżijaków, wspomina się o słynnych dziadach, pradiadach, co to grube łańcuchy rwali i gięli podkowy.

Dotyczy to też innych rodów pochodzących z Podlasia.

Nawet tam gdzie ulegli całkowitej asymilacji, w tradycji miejscowej, poza nazwą własną, niektóre wsie mają dodany jakby drugi człon – cygańska. I gdyby poszperać w starych dokumentach, okaże się, że część mieszkańców to potomkowie śniadolicych rzemieślników.

Prawie do czasów współczesnych pozostali wierni zawodowi kowala Romowie z grupy Bergitka Roma. Ci od wielu pokoleń prowadzący osiad-

ły tryb życia Romowie, byli biegłymi w sztuce kowalskiej mistrzami. Ich przepiękne wyroby w niczym nie ustępowały dziełom naszych pobratymców z Andaluzji.

Gdyby los ich rzucił w inne miejsce, jako pracowici i biegli w swoim fachu kowale, nie zaznali by tego losu i biedy, jaka stała się ich udziałem jak tam, gdzie osiedli – na jałowym, skalistym skrawku świata, w wielonarodowym, nieustannie nękanym konfliktami tyglu.

Bardzo różne mieli warsztaty. Od prymitywnych kamiennych kowadeł, gdzie kawał szmaty zastępował miech kowalski, do solidnych „pańskich”, w których kuto dworskie konie i mistrz dysponował kilkorgiem pomocników.

Tam też, na Podkarpaciu, kuto „chona”, magiczne noże dla zbieraczy ziół. Ich sekret polegał na tym, że wykonywano je z odłamków meteorów i cięte nimi zioła nie traciły mocy.

Ci właśnie Romowie byli znani jako doskonali brukarze. Kiedy budowano pierwszą w Polsce kolejkę linową, powstał problem prawie nie do rozwiązania, mianowicie, jak na tej wysokości zdobyć tłuźczeń kamienny?

Wwiezienie byłoby zbyt kosztowne, a wszelkie próby uzyskania tłuźczenia ze skał, przechodziły ludzkie możliwości. Praca ciężkimi młotami posuwała się zbyt wolno...

Był problem.

Wtedy ktoś przyprowadził gromadkę zabiedzonych, obszarpanych Romów. Na Herkulesów raczej nie wyglądali, ale twierdzili, że tłuźczenia naprodukują ile tylko będzie trzeba. Dość sceptycznie pracę im zlecono. Jakie było zaskoczenie, kiedy po kilku dniach zobaczono sporą górę tłuźczenia. Romowie pracowali bez specjalnego widocznego wysiłku. Tajemnica „czarów” polegała na tym, że młotki były osadzone na gęsto plecionych, zamiast drewnianych - rzemiennych rączkach. Siła uderzenia wystarczała do rozbicia skały przy niewielkim wysiłku. Praca takimi narzędziami nie powodowała nawet powstawania odcisków.

Druciarze

W środkowej obecnie Słowacji w XIX i XX wieku, jeszcze w pierwszym trzydziestoleciu dwudziestego wieku, Romowie wyspecjalizowali się w naprawach sprzętu gospodarstwa domowego. W powszechnym użyciu były kamienne garnki, misy i dzbany. Często z powodu nieuwagi, albo zbytnej ruchliwości gospodyni, ulegały uszkodzeniu. W sukurs takiej nieszczęśnicy przybywał mistrz drutownik. Oplatał miękkim stalowym drutem popękane naczynie, ubytki uzupełniał masą na bazie kaolinu i wody szklanej. Garnek wracał do łask gospodyni i jak głosiła niesprawdzona opinia, wytrzymał dłużej niż nowy.

Druciarze dysponowali szerszym zakresem usług. I tak: ostrzyli noże i nożyczki, wozili ze sobą kit do okien i umieli ciekawie opowiadać. Toteż w wyniku „zapatrzenia”, po pewnym czasie wśród lnianoblond rodzeństwa, przybywał ciemnowłosa, śniadolicy braciszek lub siostrzyczka.

Jak plotka głosi, jedna z amerykańskich gwiazd kina niemego, a pochodząca z Polski, też miała takie korzenie.

Kamienne garnki stanowią już eksponaty muzealne.

Nie ma już druciarzy zza słowackiej granicy...

Zaklinacze kamieni

Zanim zachłanny na energię przemysł zaczął zanieczyszczać środowisko, istniała dziedzina przemysłu wyprzedzająca nie tylko sobie współczesnych, ale i następne pokolenia. Mam na myśli młynarstwo.

Kiedy ludzkość większość prac wykonywała przy pomocy mięśni własnych lub zwierząt pociagowych, młyny napędzane były energią odnawialną – wodą, a później siłą wiatru.

Stare młyny otaczała aura tajemniczości. Krążyły opowieści i baśnie o młynach, młynarzach i zamożnych pięknych młynareczkach.

I gdzie w tym jeszcze Romowie?

Ano, byli i to wykonywali kilka profesji równocześnie.

Sercem każdego młyna (zanim nie zastosowano stalowych walców) były kamienie młyńskie. Wykonywano je z piaskowca o odpowiedniej grubości ziaren, z naciętymi rowkami, koniecznymi do prawidłowego mielenia ziarna na mąkę.

Zawód młynarza był zawodem intratnym, dającym zupełnie przyzwoite dochody, ale co jest naturalne i ludzkie, powoduje rywalizację i zawiść. Lecz niejednokrotnie metody stosowane przez konkurencję mało, że przekraczały normy uczciwości, to też zasady przyzwoitości.

Jedna z takich metod polegała na „zauroczeniu” kamieni młyńskich. Kamienie takie przestawały mleć i na nic się zdawały zaklęcia domorosłych czarownic, albo nawet najlepiej wykonane egzortycyzmy. Rzucony „urok” nie ustępował. Pozostawało poprosić romskiego zaklinacza kamieni. Odczynianie trwało zawsze kilka dni. Wikt i nocleg na koszt gospodarza.

Jak Romowie poznawali rodzaj uroków ?

Pocierali zebrany z kamieni pyłem miedzianą monetę, a kiedy ta stała się srebrna, było jasne, że wraz z ziarnem ktoś wyspał na kamienie rtęć. A usunięcie rtęci to już tylko kwestia czasu i odpowiednich substancji. Pomimo bardzo wysokiej specjalizacji, zaklinacze kamieni działali w zespołach, których członkowie trudnili się też obsługą młynów, ale w innych dyscyplinach działalności usługowej. Należeli do tych grup nacinacze kamieni młyńskich. Ich praca polegała na renowacji wytartych nacięć.

Nie bez znaczenia była współpraca z fachowcami od wyprowadzania szczurów.

Tępiciele szczurów

Szczury do Europy przybyły około X wieku. Ich przybycie w czasach Strudnych, brzemiennych w różne kataklizmy, nie zapowiadało im serdecznego powitania.

Ten żarłoczny gryzoń, którego zwyczajów jeszcze nie poznano, wywoływał zabobonny strach i obrzydzenie.

Dla Romów szczur był dobrze znanym, aczkolwiek niemile wspomnianym rodakiem z Indii.

Najważniejsze, że Romowie wiedzieli jak postępować, aby ograniczyć jego dokuczliwość. Szczury nie napotkały w Europie swych naturalnych wrogów, takich jak węże lub drapieżniki, traktujące je jako naturalny pokarm. Dla miejscowych drapieżników nie były one specjalnym przysmakiem. Gdzie niegdzie sprowadzono koty, lecz głupota i zabobon spowodowały masowe zabijanie właśnie kotów, co tym bardziej zapewniło szczurom bezpieczne rozmnażanie się. Już w niedługim czasie ludzie przekonali się, że nie tylko żarłoczność szczurów jest groźna, bo były one nosicielami plag ówczesnej Europy, takich jak dżuma i cholera.

Przed do niedawna prześladowanymi i przepędzanymi Romami, właściwie Sintami, otwierano gościnnie bramy miast, furty klasztorów, dwory. I jak już wspomniałem - młyny. W okolicach Piły, w Osieku, spotkałem potomków ostatnich romskich (sintyckich) tępicieli szczurów.

Prowadzili tam oni od pokoleń osiadły tryb życia. Po wojnie część z nich potraktowano jako Niemców i wysiedlono, reszta wyjechała w latach siedemdziesiątych XX wieku, w ramach tak zwanego „łączenia rodzin”, też do Niemiec.

Tajemnica sukcesów tępicieli szczurów polegała na umiejętnym połączeniu wrodzonej muzykalności tych zwierząt z ich żarłocznością.

Być może kiedy nowoczesne metody przeprowadzania deratyzacji okażą się mało skuteczne, naukowcy w wyniku wieloletnich badań, opracują „nowoczesną” metodę, którą kiedyś stosowali Sintowie.

Kiedy mężczyźni wyruszali na walkę ze szczurami, kobiety siadały przy szewskich warsztatach i szyły laczki.

Laczkarze

Zawód ten wykonywany marginalnie, jako dodatkowe zajęcie, mające zasilić domowy budżet pod nieobecność męża, stawał się niejednokrotnie podstawą utrzymania całej rodziny.

Mistrzynie w tym fachu - Nuczka, zanim wraz z całą rodziną nie wyemigrowała do Niemiec w 1975 roku, formalnie zarejestrowała swój warsztat rzemieślniczy (w kuchni) i na swoim domu w Ujściu wywiesiła szyld: PRACOWNIA SZEWSKA.

Szyte przez kobiety Sintów laczki, poza charakterem użytkowym, miały też znamiona dzieła sztuki. Obecnie na rynku pojawiają się laczki, mają one naszyte różne wzory, albo nadaje się im fantazyjne kształty.

Ale pierwsze były te małe i jedyne w swoim rodzaju dzieła sztuki, wręcz czasami arcydzieła rękodzielnictwa laczkarskiego.

Jak dalece był to popularny zawód, niech świadczy fakt, że w ciężkich dla Romów (i nie tylko) latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, aby nie poddać się ówczesnym władzom, a zarazem pozostać przy tradycyjnym trybie życia, zamieszkali w Maszewie Sintowie założyli spółdzielnię szewską. Produkowali tam obuwie robocze, tak zwane „drewniaki” i tradycyjnie laczki, które przeważnie „na lewo” rozprowadzali po okolicznych wsiach.

Mąż wspomnianej już przeze mnie Nuczki, Huncy - pochodził z Królewca i kiedyś pokazywał mi zdjęcia swoich rodziców oraz dalszej rodziny.

Przedstawiane na tych zdjęciach kobiety ubrane były, można by powiedzieć tradycyjnie, po romsku, z tym tylko wyjątkiem, że wszystkie miały stroje bogato zdobione koronkami. Kiedy wyraziłem zdziwienie, wyjaśnił mi, że część jego rodziny to Romowie fińscy, a tam koronkarstwo jest wręcz narodowym, romskim zajęciem.

W Skandynawii, gdzie zimy są długie i mroźne, Romowie zajmowali się wyrobem sieci, a kobiety koronkarstwem.

Niedościgłymi mistrzyniami są Romnie fińskie. Ich śnieżnobiałe koronki, usztywniane preparatami według ich receptury, stanowiły i stanowią do dziś poszukiwany wyrób. Co bardziej biegłe mistrzynie w tym fachu, potrafią posługując się lnianymi niemi i prymitywnymi patyczkami, utkać całe obrazy, obrusy - w bogate motywy roślinne lub zwierzęce.

Lutnicy

Prawdopodobnie to oni jako jedni z pierwszych porzucili wędrowny tryb życia.

Znanych mi romskich lutników policzyłbym na palcach jednej ręki. Ostatni, o ile jeszcze żyje, Szejny to ma z dziewięćdziesiąt parę lat. Jeszcze Bambul i nieżyjący już Baszno. Poznałem też kilku innych, ale oni mieli tylko świadomość, że są romskiego pochodzenia.

O Szejnym krążyła anegdota, że zupełnie nieźle zarabiał na naprawianiu skrzypiec, ale najwięcej mu płacili za to, aby nie grał. To przecież naturalne, nie musi każdy lutnik być dobrym muzykiem i odwrotnie. Lubilem obserwować, jak w kącie kuchni swojego małego mieszkania w Gnieźnie, siadał do pracy.

Wyposażenie warsztatu przypominało pracownię jubilerską, mini stolarnię: mieszanina różnych dziwnych szczypiec i skrętałów. To wszystko schludnie poukładane i lśniące, niczym narzędzia chirurgiczne. Na mini tokarce wytaczał z twardego drewna elementy, małymi dłutami rzeźbił motywy roślinne, głowy ludzkie, zwierzęce lub maszkarony. To wszystko sklejał, łączył w całość i cieszył się na koniec jak dziecko nową zabawką.

Bambul i Baszno zajmowali się renowacją i naprawami skrzypiec. Baszo, jako artysta cyrkowy, lutnictwo traktował jako hobby.

Tragiczna jest historia ostatniego z rodu twórców harf. Opowiadała mi o nim moja babcia. Podobno był jej dalekim kuzynem.

Wymyślił on sobie, że zbuduje harfę, na której rzeźbione postacie będą ruchome, coś w rodzaju pozytywek uruchomianych na odpowiedni dźwięk.

Trzy albo cztery lata pracował nad swoim dziełem.

Kiedy skończył, jego matka – morfinistka, harfę sprzedała, w wyniku czego załamała się i powiesił. Był jeszcze bardzo młody, nie był żonaty.

Wiem, że jacyś lutnicy budujący harfy, moi dalecy krewni, poženili się z Żydówkami i mieszkali we Wrocławiu. I że to jeszcze przed pierwszą wojną światową. Ale to tylko tyle.

Najmłodszy ze znanych mi romskich lutników, Cacek, absolwent technikum budowy fortepianów, ostatnio wyemigrował do Wielkiej Brytanii i według ostatnich informacji, pracuje w sklepie muzycznym. Drobne zabiegi lutnicze wykonują wszyscy romscy skrzypkowie, przestawiając między innymi „serce” w skrzypcach.

Cyrkowcy

Ten temat wymagałby właściwie oddzielnego potraktowania. Cyrk jest jakby z natury miejscem pracy dla Romów. Nie ma chyba takiej dyscypliny w sztuce cyrkowej, której nie uprawiali by Romowie.

Nawet nie nazywana cyrkiem *corrida*, w swej nowoczesnej postaci została skodyfikowana i zorganizowana przez dwóch hiszpańskich Romów.

Często też Romowie na arenie osiągnęli sławę i dzięki niej czasami fortunę.

O romskich bohaterach *corridy* wspomina nawet E. Hemingway w swojej książce „Komu bije dzwon”.

Od Bałkanów po Skandynawię wędrowali i wędrują romscy niedźwiedzicy. Niektórzy z nich pracują samotnie, tylko ze swoim przyjacielem – niedźwiedziem. Inni pracują w cyrkach. Istnieje dość duża dokumentacja, tak pisana, jak też ikonograficzna, dotycząca Romów zajmujących się tresurą niedźwiedzi. Nie ma na świecie szanującego się cyrku, w którym nie byłoby Romów i tresury tych groźnych zwierząt. Można powiedzieć, że jest to jedno z najpopularniejszych zajęć uprawianych od pokoleń. Nawet rewolucja bolszewicka nie przerwała ciągłości pracy, przekazywanej z ojca na syna. I do dziś występy z niedźwiedziami należą do wręcz sztandarowych elementów sztuki cyrkowej.

Niektóre rody romskie, takie jak Ryćiarza czy Urusarii, nazwę swej grupy wywodzą od wykonywanej profesji.

Właściwie byłoby mi trudniej wymienić dyscypliny sztuki cyrkowej, w której to Romowie nie występują.

Wymieniony przeze mnie Baszno, ubrany w strój Indianina, wzbudzał zachwyty widowni, zarazem wzbudzał dreszczyk emocji, kiedy demonstrował swoją perfekcyjną sprawność w rzucaniu nożami, *lassem*, albo kiedy bat w jego rękach stawał się precyzyjnym, wręcz zegarmistrzowskim narzędziem.

Poza tymi, którzy byli cyrkowcami jakoby z pochodzenia, bo rodzili się w nim, bywali i są Romowie, którzy do tej pracy trafili przez zbieg różnych okoliczności.

Aby nie być gołosłownym - początek lat sześćdziesiątych, Wrocław. Na okres zimy zatrzymał się tu tabor polskich Romów. Dni zimowe bywały nudne, wypełnione tylko oczekiwaniem na nadejście wiosny. Dobrze było

posiedzieć przy piecu w ciepłej kuchni, z przyjaciółmi przy szklaneczce piwa. Tak też było i tego dnia. Ojczym, po krótkiej lecz skutecznej awanturze, wziął od matki pieniądze i mały Dynało, zaopatrzony w duży porcelanowy dzbanek, wyruszył w sine od mrozu miasto, aby zaspokoić piwne pragnienie wujków i ojczyma. Należy wspomnieć, że ojczym pasa nie żałował, a rękę miał ciężką. Dynało pełen najlepszych chęci pobiegł do sklepu, dokonał zakupu i wracał do domu. Pech chciał, że za pozostałe drobne postanowił sobie kupić bułkę. Musiał przejść dwie przecznice dalej, a tam po drodze było lodowisko. Na moment, na mały momencik, wszedł na lód. Mała chwileczka zamieniła się w kilka godzin. Wrócił po dzbanek. Zamrożone piwo rozsadziło dzbanek. Opadło szczęście pobytu na lodowisku. Rzeczywistość wracała jako perspektywa tęgiego lania i nowych siniaków na grzbiecie, a stare jeszcze nie zeszły. Postanowił uciec jak najdalej.

To „jak najdalej” okazało się skrzynią gimnastyczną w hali sportowej, w której go odnalazła grupa artystów cyrkowych, właśnie tam ćwiczących. Musiał przebywać tam kilka dni, bo był nieprzytomny i bardzo odwodniony.

Po odzyskaniu przytomności milczał, sprawiał wrażenie niemowy. A on milczał w obawie, że zorientują się skąd jest i oddadzą go w ręce ojczyma.

Do ojczyma go nie odesłali, pozostał w cyrku.

Spotkałem go już jako dorosłego człowieka. Pracował jako absolwent studium sztuki cyrkowej i do tamtej historii sprzed przed lat podchodził z pogodnym dystansem.

Na pewno część Romów też do pracy w cyrkach trafiała w podobny sposób, przez przypadek. Ale ci, którzy już tam trafiali, pozostawali poważnie w cyrku na całe życie.

Vania de Gila twierdzi, że Romowie zajmowali się pasterstwem, właściwe hodowlą określonej rasy czarnych wołów i ich układaniem do pracy. Potwierdza tą teorię łatwość, z jaką udaje nam się oswoić różne zwierzęta i je układać, nawet wtedy, kiedy innym wydaje się to zupełnie niemożliwe.

Reasumując: Romowie w cyrkach pracowali zawsze i niezależnie od tego, czy jest prawdziwą teorią, że to właśnie Romowie wymyślili współczesną formułę cyrku i byli jego twórcami, faktem niezaprzeczalnym jest, że bardzo dużo rodów romskich od pokoleń związanych jest z pracą w cyrku.

Hodowcy i handlarze koni

Na dalekich stepach Azji, na węgierskiej Puszczy czy stepach Ukrainy. Wszędzie tam, gdzie można było swobodnie przepędzać tabuny koni, tam pojawiali się Romowie – hodowcy koni. Ci stepowi arystokraci żyli tak, jak nakazywała tradycja, przekazana im przez poprzednie pokolenia. Azjatyckie plemiona Luli i Bosza, zamiast romskiego używają już języka, który sami nazywają „Arabcza”, ale i oni nie odeszli od tradycyjnego życia i zawodu przodków. Tak samo węgierscy Lowarzy, mistrzowie hodowli koni, w swych obyczajach mają zakodowany wielki sentyment do tego zwierzęcia. Zresztą, u wszystkich Romów koń cieszy się szczególnymi względami. Nie wolno pod groźbą skalania uderzyć konia metalowym przedmiotem, nie wolno pić z naczyń uznanych za „nieczyste”. Zupełnie naturalne jest podawanie koniom wody z wiader, z których piją ludzie. Do dziś wśród Romów, których przodkowie byli hodowcami koni, istnieje struktura wewnątrzplemienna, typowa dla ludów pasterskich. Hodowcy koni traktują handel końmi jako element swojej pracy, a nie jako jedyny cel życia. Przez poszczególne rodziny bardzo strzeżone są ich receptury, dotyczące przepisów na leki lub też kosmetyki dla koni.

Jak ważną i wpływową na pozostałych grupą byli rodowici hodowcy koni, niech świadczy fakt, że we wszystkich legendach lub bajkach romskich, pojawiają się szefowie grup otoczeni bogactwem i szacunkiem, niczym ruscy bojarzy.

W obecnym czasie, w Polsce i gdzie indziej też następuje renesans zawodu hodowcy koni. Jest to najodpowiedniejszy czas, bo chociaż śladowo, ale żyją jeszcze nestorzy tego pięknego zawodu. Jest więc nadzieja kontynuacji.

Dla każdego Roma jarmark koński stanowił rodzaj uczestnictwa w samym wydarzeniu, a niekoniecznie był elementem pracy zarobkowej. Prawdziwych handlarzy koni było i jest niewielu. Na jarmark jechało się tak samo, jak obecnie na giełdę samochodową.

Rasowi handlarze stosowali wszystkie możliwe środki celem podniesienia wizualnych wartości swego „towaru”. Ale podrabianie zębów, pojenie piwem, lub wyciągiem z maku, to i tak się nie umywa do metod stosowanych przez handlarzy wielbłądów w krajach arabskich. Tam, aby uzyskać odpowiedni błysk w oczach, podaje się zwierzęciu arsenik, któ-

ry dawkowany nieodpowiednio, może je tego błysku pozbawić na zawsze.

Jarmarki końskie same w sobie są pięknym widowiskiem i nawet gdyby nie dochodziło na nich do finalizacji transakcji, to i tak warto są potraktowania jako reliktu odchodzącego folkloru.

Wróżenie kabała

Nic nie jest bardziej błędne od stwierdzenia, że każda Romni jest wróżką i potrafi stawiać kabałę.

Jako że w ludzkiej naturze istnieje coś takiego, jak chęć „podglądania Pana Boga”, toteż popyt na usługi mające nam uchylić rąbka tajemnicy, a dotyczące naszej przyszłości jest wielki.

Ludzie współcześni w tym przypadku niczym się nie różnią od żyjących przed tysiącami lat.

Jako że temat sam w sobie jest delikatny, a przy tym ma być potraktowany rzetelnie, proponuję dokonanie jego klasyfikacji na podstawowe działy:

a) wróżenie z ręki

Ta stara sztuka oparta jest na teorii polegającej na wierze, że tak jak istnieją cztery strony świata, istnieją cztery żywioły – ziemia, woda, ogień i powietrze. I tak samo istnieją cztery cechy charakteryzujące ludzi.

Każdy człowiek ma na dłoni wypisany swój los. Układ poszczególnych lini, ich wzajemne położenie w stosunku do siebie, mówi pod działaniem jakiego żywiołu jest dany człowiek. Cała ta sztuka polega na umiejętności odczytania zapisu.

Tajemnicę tej sztuki przekazywała matka córce i nauka rozpoczynała się od najmłodszych lat. Mistrzynie w tej sztuce były goszczone nawet na dworach, co przekładało się na odpowiednio wysokie zarobki.

Romnie wykonujące ten fach zgodnie z regułami sztuki, można nazwać wróżkami dyplomowanymi, aczkolwiek bez dyplomu.

Ostatnia wojna przerwała nie tylko ciągłość całych plemion romskich, a co dopiero pojedynczych rodzin, dlatego jest to już zawód prawie wymarły.

b) wróżenie pod wpływem ziół

Metoda ta jest, a właściwie była znana wszystkim Romniom, zajmującym się wróżeniem.

Zasady są proste, stosowane dość często przez szamanów i wróżbitów, niezależnie od nacji. Czy szkodliwość ziół, czy też brak nowych adeptów tej sztuki, spowodowały zanik tej działalności.

c) Wróżenie z kart

Jak w każdej dziedzinie ludzkiej działalności i w tej istnieje podział na mistrzynie, partaczki i nędzne naśladownictwo, nie mające nic wspólnego

z kabałą. Sztuka wróżenia z kart jest starą sztuką, obwarowaną wieloma regułami, wręcz skodyfikowaną. I niezależnie, czy sztuka ta jest uprawiana jako zabawa, czy też traktowana serio, skoro wymaga solidnego przygotowania i określonej wiedzy, należy ją traktować jako zawód.

Pomimo prawie zupełnej feminizacji tego zawodu, bywały wyjątki od reguły. Zdarzało się, że wróżeniem i to z dużym powodzeniem, zajmowali się mężczyźni.

Rękodzielnictwo

Pojęcie dość ogólne, nie precyzuje żadnej konkretnej profesji, ale tak też to wygląda w rzeczywistości. Na przykład w Bułgarii ci sami rzemieślnicy, którzy wytwarzają sita, z wierzbowego drewna robią łyżki drewniane i łopatki, bardzo przydatne w kuchni. Do niedawna snycerstwo uprawiali Romowie na własny użytek, nie traktując tego jako źródła dochodów. Uratowały się pojedyncze prace, jako pamiątki rodzinne. Oglądałem przepięknie wykonane domowe ołtarzyki. Były to wręcz dzieła sztuki.

Po dawnych artystach pozostały wspomnienia i bardzo niewiele ich dzieł. Ci autentyczni artyści, tworzący z potrzeby serca, sami nie zdawali sobie sprawy z materialnej wartości tworzonych przez siebie prac. A przecież były to dzieła, które mogłyby stanowić ozdobę niejednego muzeum. Miałem to szczęście, że oglądałem przepięknie rzeźbione fajki, laski albo ozdoby romskich wozów.

Do takich samych niepowtarzalnych dzieł, należą wykonane przez domorosłych jubilerów pierścienie albo kolczyki.

Bezimiennie pozostają mistrzynie igły, które przy świetle ogniska czy też księżycy, szyły zaprojektowane przez siebie fantazyjne stroje.

Jest jednak nadzieja, bo i wśród Romów zaistniała potrzeba zachowania dorobku swojej kultury materialnej. A i młodzi Romowie studiują na kierunkach artystycznych.

Być może za parę lat poznamy wielkie nazwiska młodych twórców, których przodkowie byli bezimiennie zapomnianymi koczownikami.

Rymarze

Rzadko kto się zastanawiał, skąd się brały przewspaniałe, bogato zdobione uprząże na romskich koniach?

Ano, w większości wykonywali je sami Romowie, romscy rymarze. Zawód ten, tak samo jak kowalstwo, od wieków wykonywali, specjalizując się w uprzężach ozdobnych, przeznaczonych na wyjątkowe okazje. Rymarze mieli świadomość wartości swej pracy i dzięki temu należeli do zamożniejszych wśród swoich pobratymców.

Romscy rymarze swoje siedziby mieli w przeszłości w okolicach Odesy (jak głosi ich rodzinna opowieść), a potem po rewolucji bolszewickiej rozeszli się po całym świecie. Dialekt jakiego używają, potwierdzałby prawdziwość tego przekazu. Ich wyroby, poza fantazyjnymi ozdobami, charakteryzuje dbałość o każdy, nawet najdrobniejszy szczegół. Ale czymś najważniejszym, aczkolwiek niewidocznym, jest z pietyzmem pomyślana ochrona konia przed otarciami czy odparzeniami. Kilka miesięcy wstecz miałem okazję rozmawiać z potomkiem jednego z mistrzów tego rzemiosła i okazuje się, że jest zdecydowany uruchomić pracownię rymarską, kontynuującą stare techniki tego zawodu.

Ogrodnicy (?)

Pada pytanie, czy Romowie zajmowali się rolnictwem? Rozpatrując to w kategoriach tradycyjnych zawodów, wykonywanych przez byłych koczowników i żyjących według prawa obyczajowego, zdawało by się, że nie. Owszem, rolnikami byli z Bergitka Roma, nawet pracowali jako najemni robotnicy rolni, ale nie wynikało to z tradycji, a było raczej jej zaprzeczeniem. Tak samo jak w wyniku bezmyślnie przeprowadzonej akcji przymusowego osiedlania, niektórzy otrzymali niewielkie gospodarstwa rolne i z konieczności stali się rolnikami. Jak były sportowiec Władysław Wajs, nie mający nic wspólnego z rolnictwem, ukończył technikum rolnicze. Nic by nie wskazywało, aby poza hodowlą koni, ewentualnie innych zwierząt, rolnictwo należało do tradycyjnych zawodów romskich.

A jednak, nic bardziej błędnego, bo istnieje w przekazach rodzinnych, jak też relacjach samych zainteresowanych potwierdzenie, że była dziedzina związana z rolnictwem. Od pokoleń wykonywana przez Romów. Całe pokolenia przekazując sobie tajniki tego zawodu z ojca na syna i tak dalej, zajmowały się szczepieniem drzew owocowych i krzewów ozdobnych. Tak zwanym „oczkowaniem”. Bo jest to bardzo wąska specjalizacja, lecz niezwykle ważna w sadownictwie i pielęgnacji krzewów ozdobnych. Nikt lepiej od nich nie potrafił określić pory roku i metody zaszczepienia drzew owocowych i krzewów róż albo innych roślin ozdobnych. To oni potrafili zbierać i preparować odpowiednie włókna roślin na otuliny do bandażowania zaszczepionych pędów. Ich potencjalnymi zleceniodawcami byli sadownicy i właściciele parków.

Pod koniec dziewiętnastego i w początkach dwudziestego wieku zawód ten był bardzo ceniony, a fachowcy godziwie wynagradzani.

Oni to wymyślili dwa, obowiązujące do dziś, kształty noży ogrodniczych. Taki jakby ze złamanym ostrzem, przeznaczony do oczkowania i drugi, przypominający sierp.

Usługi swoje świadczyli na terenie prawie całej Europy. O tej pracy i jej tajnikach opowiadał mieszkający w Goleniowie, a będący już w słuźnym wieku, mistrz tej sztuki Teodoro.

Poszukiwacze złota i kamieni szlachetnych

Zyli Karpatach Romowie z rodu Rudarii, spokrewnieni z rumuńskimi Kełdaleszami. To właśnie oni zajmowali się poszukiwaniem złota w strumykach górskich. Jak głosi opowieść, coś tam znajdowali. Nie dane nam było poznać wzbogaconych znaleziskami poszukiwaczy. Ale na cygańskich poplątanych drogach spotykaliśmy potomków tych bardziej pechowych, bo poza pięknymi legendami i opowieściami o dziadkach, pradziadkach, którzy podobno znajdowali bryły złota „wielkie jak pięść”, nie mieli widocznych oznak bogactwa.

Pozwolimy sobie na pewną niekonsekwencję i posłużymy się cudzą relacją, sięgając do artykułu Michała Szuby („Okolice” nr 3/83 [4] z 1983 roku). Opisuje on relacje niemieckiego pracownika Kolonialnej Niemieckiej Kolei Żelaznej Augusta Schultza. Bohaterem tej opowieści, a właściwie relacji świadka, jest Stewo Afrikano, pochodzący z Turcji, z Adampola.

Ten urodzony około 1880 roku Rom postanowił nie tylko poszukiwać złota i diamentów, ale „przy okazji” założyć państwo romskie. Podczas wędrówki przez Afrykę ożenił się on z córką białego osadnika i miał z nią dwóch synów.

Podróżując wzdłuż rzeki Oranje dotarł do Namibii, było to około 1902 roku. W Afryce Południowej proklamowano właśnie powstanie Republiki Kopaczy.

Stewo wraz z towarzyszącymi mu Romami i pożenionymi z Romniami osadnikami, założył osadę i nazwali ją Romengro. Miał to być początek państwa romskiego. Wybrał sobie jednak bardzo złą historycznie porę. Tamte tereny były polem walk o złoto, diamenty i ziemię. Po wielu tragicznych przejściach i próbach osiedlenia w innym miejscu, zostali napadnięci i ograbieni ze złota oraz drogich kamieni. Państwo Romengro nie powstało, a sam Stewo Afrikano z garstką swoich ludzi dotarł do Europy i zajął się handlem drogimi kamieniami, uzyskując przydomek „Diamentowy Jim”. Zmarł w 1940 w Stanach Zjednoczonych.

Nie spełnił swoich marzeń, ale jako poszukiwacz złota i diamentów doszedł do fortuny.

Wielu Romów emigruje do Australii. Niektórzy uzyskują odpowiednie uprawnienia i zajmują się poszukiwaniem minerałów, nie tylko drogich opali.

Recykling

Nie jest to, co prawda, tak romantyczny i otoczony legendami zawód, jak poszukiwanie skarbów, ale wielu Romów zajęło się i to z powodzeniem, tą działalnością.

Prawie w całej Europie zorganizowane firmy romskie zajmują się zbiórką złomu i selekcją metali. Jest to nowa specjalność, która wymaga jednak przyswojenia sobie umiejętności posługiwania nowymi narzędziami, znajomości technologii i budowy poszczególnych urządzeń mechanicznych.

W Polsce jeszcze niewielu Romów zajmuje się recyklingiem. Składa się na to wiele przyczyn, między innymi niespójność przepisów z jednej, a brak orientacji na miejscowym rynku z drugiej strony.

Lecz w nieodległym czasie właśnie ta działalność stanie się, tak jak w innych krajach, zajęciem romskim.

W Niemczech, we Francji i innych krajach zachodnich, zamiast cynownictwa -Romowie zajmują się renowacją zużytych pilników i wiertel. Wczorajsi kowale i kotlarze stają się ekspertami od rozpoznawania stopów metali i ich selekcji.

Muzykanci i muzycy

Pozornie żaden zawód nie jest tak masowo wykonywany przez Romów jak... I powstaje problem: muzyka, czy muzykanta? Kiedy na muzykanta mówimy muzyk? Albo też odwrotnie?

Przypuszczamy, że nawet fachowcy mieliby z tym trudności, dlatego nie podejmiemy takich rozważań. Tym bardziej, iż samo zjawisko w aspekcie wykonywanego zawodu, a nie na platformie filologicznej.

Muzyka zawsze towarzyszyła Romom i była czasami częściej obecna niż jedzenie. Nie dla wszystkich stanowi ona źródło utrzymania. Większość Romów muzykuje dla własnej przyjemności i we własnym gronie. Ten rodzaj muzyki nie jest zawodem i wręcz poczytano by za obrazę, gdyby grającym dla swoich zaproponowano zapłatę.

Na Węgrzech istnieje bardzo widoczne zróżnicowanie muzyków romskich: w czardach przygrywiają małe, kilkusobowe kapele zatrudnione na stałe, są też zespoły zawodowych muzyków, dających koncerty w teatrach i salach koncertowych oraz wędrownie kapele.

W Polsce wędrownie kapele tworzą przeważnie Bergitka Roma (Romowie górscy). Lecz zawodowym muzykowaniem trudnią się też Romowie z innych grup. Poza kapelami istnieje kilka zespołów estradowych, z których najdłuższym, bo ponad pięćdziesięcioletnim stażem, może się pochwalić zespół Terno, pod niezmiennym kierownictwem Edwarda Dębickiego.

Są też znani wokaliści tacy jak Randia, Maśio albo bracia Burano i Wit Michaj. Mógłbym tą listę ciągnąć dłużej, ale - aby nikogo nie pominąć - wymienię tylko tych, których sława jest już ugruntowana.

I chociaż muzyka, śpiew i taniec stanowią jakby stały element w życiu Romów, traktowanie tego jako źródła zarobkowania jest marginalne i tylko niewielka część społeczności romskiej utrzymuje się z muzykowania.

Młodzi Romowie częściej podejmują studia pedagogiczne o kierunku muzycznym, niż studiowanie w szkołach muzycznych.

Nawet najprostsza statystyka obala kolejną myśl, a przecież to taki ładny mit...

Zawody, profesje obyczajowo zakazane

Pomiędzy poszczególnymi plemionami romskimi istnieją odmienności w interpretacji prawa obyczajowego, jeszcze większe, niż zróżnicowanie dialektów.

Gdybym jako wzorzec przyjął inną grupę, prawdopodobnie katalog zawodów zakazanych wyglądałby inaczej.

Dla Polska Roma niedopuszczalnym jest, aby szanujący się Rom pracował jako rakaż, grabarz albo hycel.

Do zawodów zakazanych należą też: lekarz, położna, pielęgniarka i strażnik więzienny.

Część tych zakazów powstała w zamierzchłej przeszłości i miała swoje uzasadnienie. Obecnie mają one charakter obyczajowy, ale w dalszym ciągu są respektowane.



78-400 Szczecinek
ul. Plac Wolności 12
tel./fax: 94/ 372 50 98
rom.ch@pro.onet.pl
www.romowie.com